

Jak to się robi w Ameryce



Dzisiejszą opowieścią chciałabym otworzyć serię wpisów gościnnych, która wydaje mi się bardzo ciekawym projektem. Jako pierwszą o opisanie ciąży – dziecięcych doświadczeń poprosiłam moją przyjaciółkę, z którą na co dzień sporo tych doświadczeń wymieniam, ponieważ mieszka ona w Stanach. Niejednokrotnie, ku mojemu najgłębszemu zdumieniu, na moich oczach obalała ona mit *American Dream*. Przeczytajcie i wy co na temat tego najważniejszego okresu w życiu kobiety, z amerykańskiej perspektywy, ma do powiedzenia Laura:

Macierzyństwo na emigracji. The American Way.

Opieka prenatalna

Wszystko zaczyna się oczywiście od pozytywnego testu ciążowego (lub trzech). I co teraz? Trzeba oczywiście zadzwonić do lekarza. Czas oczekiwania na pierwszą wizytę wynosi prawie 2

miesiące, po którym to czasie oczekiwania zgłaszamy się, aby oddać próbkę moczu w ramach potwierdzenia i odbyć gadkę-szmatkę z pielęgniarką. Dostałam książkę i teczkę z materiałami. Lekarza nie zobaczyłam jeszcze przez kolejny miesiąc lub dłużej.

W pierwszych tygodniach nikt mi nie mierzył Beta-HCG i nie informował o jego przyroście, a w ostatnich nikt nie badał mi szyjki. Badanie ginekologiczne było jedno. USG tylko połówkowe. A mimo to udało mi się urodzić śliczne, zdrowe dziecko. Tak, zazdrościłam trochę polskim koleżankom, że miały tak dokładny podgląd i monitoring ciąży, że znały szacunkową wagę i wymiary dzidziusia. Ale z drugiej strony brak dostępu do tych informacji sprawił, że nie miałam takiej paranoi jak większość z nich.

Zwolnienie (L4) i urlop macierzyński

Nie istnieją. Ciężarne kobiety pracują jak wszyscy. Do momentu, aż złapią je skurcze porodowe. Jako pracownica największego szpitala w regionie zaciskałam kciuki, żeby zacząć rodzić w pracy. Los zechciał, że wody odeszły mi w domu, w weekend. W środku nocy. W czasie śnieżnej zawieruchy.

Rodzi się oczywiście w dobrych warunkach. Prywatny pokój z łazienką i kanapą dla męża / partnera to standard. Znieczulenie nie jest obowiązkowe, ale personel medyczny do niego zachęca, a wręcz usilnie je wpycha (osobiście zgodziłam się tylko dlatego, żeby już wreszcie przestali przychodzić i pytać mnie o to samo co 30 minut!). Niecałe pół godziny po wypchnięciu dziecka na świat i dwóch szwach, siedziałam w wózku czekając na przewiezienie do sali poporodowej (też prywatnej, tylko większej, też z łazienką i rozkładaną kanapą). Po normalnym porodzie ze zdrowym dzieckiem spędza się tam dwa dni – więcej ubezpieczenie nie pokryje, ponieważ nie jest to konieczne z medycznego punktu widzenia. A jeśli ktoś, z jakichkolwiek przyczyn, zechciałby zostać dłużej, to może się spodziewać tłustego rachunku. Plus jest taki, że torba do

szpitala zawierała ubrania na wyjście dla mnie i noworodka, kocyk (lutowe dziecko) i smoczek (na wszelki wypadek). Wszystko pozostałe zapewniał szpital. Drugi element egzotyki: W sali poporodowej dostałam kartę menu do zaznaczenia co chcę na śniadanie, obiad i kolację następnego dnia. Mogłam zaznaczyć wszystko lub nic, co i tak mnie nie usatysfakcjonowało, bo po 36 godzinach od ostatniego posiłku wołałam o cheeseburgera!

Po porodzie przysługuje zwolnienie z pracy na okres połogu (6 tygodni po porodzie siłami natury, 8 tygodni po cesarskim cięciu). Jest to zwolnienie płatne w niecałych 50% (z budżetu stanu) z tytułu krótkoterminowej niezdolności do pracy (takie samo zwolnienie, jakie otrzymujemy po operacji np. kręgosłupa lub wyrostka) oraz 50% od pracodawcy – 0 ILE MAMY WYSTARCZAJĄCĄ LICZBĘ GODZIN PŁATNEGO URLOPU, żeby to pokryć. Innymi słowy: nasz urlop wakacyjny idzie się... no powiedzmy, że idzie sobie w siną dal na poczet kilku tygodni w domu z noworodkiem.

Amerykanie myślą, że Bóg błogosławi ich naród tylko dlatego, że mogą skorzystać z FMLA (Family Medical Leave Act). Jest to **bezpłatny** urlop do 12 tygodni, który należy się świeżo upieczonym rodzicom, tudzież rodzicom dziecka adopcyjnego lub komuś, kto musi się zająć starym / schorowanym członkiem rodziny. Warunek FMLA to 12 miesięcy (na pełnym etacie) przepracowanych u danego pracodawcy oraz składki na ubezpieczenie zdrowotne opłacane z własnej kieszeni, jako że pracodawca nie pokrywa ich na BEZPŁATNYM urlopie (tu rodzi się pytanie: jak płacić składki z własnej kieszeni, kiedy nie otrzymuje się wypłaty? – tego nikt mi nie wyjaśnił).

Podsumowując, jeżeli jesteśmy w super komfortowej sytuacji finansowej i nasze dziecko przyszło na świat przez cesarskie cięcie, maksymalny okres spędzony z dzieckiem w domu to około pięć miesięcy. A co jeśli nie?

Nowa rzeczywistość. Pierwszy rok.

Istnieją trzy typowe scenariusze:

1) **Opcja dla zamożnych & bogaczy**

Po upływie od dwóch do pięciu miesięcy od przyjścia na świat naszego małego, długo wyczekiwanego skarbu mama wraca do pracy, a bobasa podrzuca do żłobka (day care);

2) **Opcja dla niezamożnych szczęśliwców**

Mama wraca do pracy, a dzieckiem opiekuje się babcia / dziadek / ciotka / siostrzenica czy inny dostępny i zaufany członek rodziny;

3) **Opcja dla niezamożnych, którzy są zdani głównie na siebie**

W tej grupie my. Jeden rodzic pracuje na dzienną zmianę, drugi na nocną. Dzieckiem zajmują się na przemian. Ciężka orka na ugorze, która odbija się na każdej sferze życia. Ale są i plusy: z pełnego zaangażowania ojca korzysta i on sam, i dziecko. Młoda mama uczy się robić krok w tył i powierzyć maleństwo pod opiekę kogoś innego. Przy okazji nie popada w depresję czy znużenie typowe dla niegdyś aktywnych zawodowo i ambitnych kobiet, których wachlarz zadań do wykonania nagle sprowadza się tylko do karmienia, przewijania i zabawiania niewerbalnego osobnika o nieprzewidywalnych humorach.

Tak czy owak, czy wybierzemy bramkę nr 1, 2 czy 3, wszyscy żyją i żyć będą. A może nawet będą szczęśliwi! ☐